

JODI PICOULT

GŁOS SERCA - fragment

Prolog

Rebeka

Listopad 1990

W prawym górnym rogu fotografii widać miniaturowy samolot, który wygląda, jakby leciał prosto w moje czoło. Jest maleńki, stalowobłękitny. Rozdęty, wydłużony owal, przecięty pośrodku skrzydłami. Właściwie ma kształt krzyża. Takie było pierwsze spostrzeżenie mamy, gdy otrzymałyśmy to zdjęcie w Massachusetts.

– Spójrz, Rebeko – powiedziała – to znak.

Mając trzy i pół roku, przeżyłam katastrofę lotniczą. Od tamtej pory mama twierdzi, że jest mi przeznaczony szczególny los. Nie mogę przyznać, że się z nią zgadzam. Nic nie pamiętam. Któregoś razu mama i tata się pokłócili, potem mama płakała, stojąc nad zlewem, a tata pozdejmował ze ścian co cenniejsze obrazy i zamknął je w bagażniku samochodu. Wtedy mieliśmy chevroleta impalę. W rezultacie mama zabrała mnie do domu dziadków, żółtego, przestronnego budynku pod Bostonem. Tata ciągle dzwonił. Groził, że jeśli nie wrócę do domu, zawiadomi FBI. W końcu mama się złamała, uznała jednak, że nie może ze mną lecieć. Dokładnie rzecz biorąc, powiedziała: „Kochanie, jest mi naprawdę przykro, ale nie wytrzymam z tym człowiekiem ani minuty”. Ubrała mnie w cytrynową sukienkę, dzierganą na drutach, do tego kazała włożyć

białe rękawiczki. Na lotnisku, zanim przekazała mnie stewardesie, jeszcze ucałowała na do widzenia i poprosiła: „Nie zgub rękawiczek. Zapłaciłam za nie jak za zboże”.

Z samej katastrofy pamiętam bardzo mało. Samolot rozpadał się na kawałki, złamał się tuż przed ósmym rzędem. Pilnowałam rękawiczek jak żrenicy oka, ludzie się nie ruszali, a ja nie miałam pewności, czy wolno mi oddychać.

I to właściwie wszystko. Dopiero kiedy podrosłam na tyle, by rozumieć więcej, mama powiedziała mi, że byłam jedną z pięciu ocalałych. Moje zdjęcie zamieszczono na okładce „Time’a”. Widnieje na nim ubrana w żółtą sukienkę zapłakana dziewczynka z rozłożonymi rączkami. Zrobił je jakiś farmer prymitywnym tanim aparatem. Za jego sprawą trafiło do prasy i poruszyło serca milionów Amerykanów. Mama opowiedziała mi też o płomieniach sięgających nieba, o czarnym dymie, liżącym chmury, i o tym, jak nieistotna okazała się w porównaniu z tym kłótnia z tatą.

Zdjęcie z samolotem w rogu zrobił nam w dniu wyjazdu z Kalifornii jakiś kierowca ciężarówki. Mama miała włosy ściągnięte w koński ogon. Niby obejmowała mnie za ramiona, ale dłoń położyła mi na szyi, nienaturalnie zaciskając palce, jakby chciała mnie powstrzymać od ucieczki. Uśmiechała się. Ubrana była w jedną z koszul taty. Ja się nie uśmiechałam. Nawet nie patrzyłam w obiektyw.

Kierowca nazywał się Flex. Miał rudą brodę, ale wąsów już nie. Powiedział, że od Nebraski nie spotkał miłszego widoku niż my dwie. Sfotografował nas własnym aparatem, bo my się za bardzo śpieszyliśmy, żeby zabrać nasz.

– Dajcie mi adres, przyślę wam odbitkę – obiecał. Mama uznała, że diabła tam, w końcu to adres domu, który jej brat wynajmuje obcym ludziom, więc jeśli Flex okaże się wariatem i podpalaczem, to i tak wszystko jedno.

Flex przesłał zdjęcie, dostaliśmy je spod adresu wujka Joleya. Przyszło w używanej, preadresowanej brązowej kopercie, naznaczonej węzłem dwudziestu pięciu znaczków po jednym cencie. Kierowca ciężarówki dołączył do fotografii karteczkę samoprzylepną, której mama nie pozwoliła mi przeczytać.

Opowiadam ci historię naszej podróży, bo to właśnie ja złożyłam zdarzenia w całość. Ta historia dotyczy nas wszystkich: mamy, taty, wujka Joleya, Sama i nawet Hadleya, jednak każde z nas widzi ją inaczej. Dla mnie przewija się ona wstecz. Jak puszczonej do tyłu film. Nie mam pojęcia, dlaczego tak ją widzę. Wiem, że na przykład mama patrzy na nią inaczej.

Gdy przyszła odbitka od Flexa, wszyscy stanęliśmy przy kuchennym stole i się jej przyglądaliśmy. Mama, tata, ja, Joley i Sam. Joley powiedział, że ładnie wyszłam, i spytał, gdzie zrobiliśmy to zdjęcie. Sam pokręcił głową i odszedł od stołu.

– Nic nie widać – ocenił. – Ani drzew, ani kanionów, nic.

– Nas widać – powiedziała mama.

– Nie dlatego zostało zrobione – rzekł Sam. Jego słowa oprószyły kąty srebrnym pyłem. – Coś w nim jest. Tylko my tego nie widzimy. – I wyszedł z kuchni.

Mama i ja spojrzaliśmy na siebie ze zdziwieniem. To była nasza tajemnica. Odruchowo wbiłyśmy wzrok w punkt na autostradzie, na prawo od naszych postaci. Tam Kalifornia przechodziła w Arizonę. Kierowcy ciężarówek

wyczuwają tę zmianę w nawierzchni drogi. Nikt inny jej nie dostrzega.

1. Jane

W noc przed ślubem obudziłam się z krzykiem. Rodzice przybiegli do mojego pokoju, zamknęli mnie w uścisku, głaskali i przytulali, a ja nie mogłam przestać krzyczeć. Nawet z zaciśniętymi ustami. Z gardła wydierał mi się przenikliwy pisk nocnego zwierzęcia.

I mama, i tata wychodzili z siebie, żeby mnie uspokoić. Mieszkaliśmy wtedy na przedmieściach Bostonu, w nieciekawej okolicy. Sąsiedzi budzili się jeden po drugim. Patrzyłam na światła zapalające się w kolejnych domach – niebieskie i żółte, mrugające jak w wigilię Bożego Narodzenia – i głowiłam się, co mi jest.

Nie było to zjawisko powszednie. Miałam dziewiętnaście lat, właśnie ukończyłam Wellesley College z najwyższymi notami, co w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym nadal stanowiło nie lada osiągnięcie. Miałam poślubić wymarzonego mężczyznę, uroczystość zaplanowano w typowym dla Nowej Anglii drewnianym białym kościółku, a wesele – wystawne i huczne, uświetnione kawiozem z białymi i obecnością kelnerów w białych rękawiczkach – zaplanowano w ogrodzie naszego rodzinnego domu. Czekająca na mnie praca, którą miałam rozpocząć po powrocie z miesiąca miodowego. Trudno o lepszy układ. Nie przewidywałam żadnych kłopotów.

Dzisiaj też nie wiem, co mi się wtedy stało. Krzyk, równie niespodziewanie jak się narodził, w końcu się urwał i następnego ranka wyszłam za mąż za Olivera Jonesa – za tego Olivera Jonesa – by żyć długo i szczęśliwie.

Jestem jedynym logopedą w okolicy, co oznacza, że jeżdżę po przedmieściach San Diego od jednej szkoły do drugiej. Teraz, kiedy Rebeka podrosła na tyle, żeby sama o siebie zadbać, a Oliver większość czasu spędza poza domem, już nie jest to uciążliwe, bo mam znacznie mniej obowiązków w domu. Lubię swoją pracę, jednak zupełnie inaczej niż Oliver swoje zajęcie. On chętnie by zamieszkał w namiocie na wybrzeżu Argentyny i bez ustanku obserwował wieloryby w ciepłych wodach oceanu.

Moja praca polega na niesieniu pomocy dzieciom z wadami wymowy, z rozszczepieniem wargi, podniebienia albo jednego i drugiego. Z początku, gdy przychodzą do mojego prowizorycznego gabinetu, szurają nogami, nieśmiało zerkają na imponujący sprzęt audio i milczą. Czasami ja też milczę, czekam, aż dziecko się przełamie i zapyta, co ma robić. Niektóre zakrywają usta dłonią, jedna dziewczynka nawet się popłakała. Nie znoszą dźwięku własnego głosu, nienawidzą części ciała, które inni uznali za brzydkie. Moja rola polega na uświadomieniu im, że istnieje osoba gotowa słuchać, co mają do powiedzenia, w taki sposób, w jaki muszą mówić.

Opowiadałam im, że kiedy miałam siedem lat, wymawiałam literę „s” z przyświstem. W szkole się ze mnie śmiali, więc mówiłam jak najmniej i nie miałam wielu przyjaciół. Któregoś razu nauczycielka oznajmiła klasie, że zorganizujemy przedstawienie i wszyscy weźmiemy w nim udział. Byłam tak przerażona perspektywą czytania i recytowania tekstu przed wszystkimi, że postanowiłam udać chorą. Gdy mama wyszła z pokoju, nagrzałam termometr przy żarówce.

Zostałam w domu. Trzeciego dnia zadzwoniła nauczycielka i mama zorientowała się w oszustwie. Gdy wróciłam do szkoły, wychowawczynie poprosiła mnie na stronę. Powiedziała mi, że wszystkie role zostały już obsadzone, dla mnie zarezerwowała naj-istotniejszą funkcję, kierownika efektów dźwiękowych. Jak w filmach. Przez trzy tygodnie dzień w dzień zostawałam w szkole po lekcjach, a wychowawczynie uczyła mnie, co robić. Po jakimś czasie okazało się, że dzięki seplenieniu mogę naśladować wóz strażacki, ptaka, mysz, pszczołę i wiele innych dźwięków. W dzień przedstawienia zostałam wyposażona w czarną szatę i mikrofon. Inni uczniowie odgrywali zaledwie po jednej roli, ja natomiast wydawałam odgłosy kilku zwierząt i urządzeń. Tata był ze mnie bardzo dumny. O ile pamiętam, tylko raz w życiu to od niego usłyszałam. Właśnie wtedy.

Taką historię opowiadam na koktajlach organizowanych przez Centrum Badań Oceanicznych, na których bywamy z Oliverem. Ocieramy się tam o ludzi sławnych i bogatych, wspomagających instytut dotacjami. Przedstawiamy się zawsze jako państwo Jones, małżeństwo z tytułem doktorskim, chociaż ja mam tylko magistra. Wymykamy się z przyjęcia, gdy inni siadają do głównego dania, biegniemy do samochodu, żartując sobie ze smoków i kreacji wyszywanych cekinami. Potem Oliver prowadzi, a ja zwijam się w kłębek, opieram mu głowę na ramieniu i słucham opowieści, które słyszałam już tysiąc razy. O czasach, gdy wieloryby żyły w każdym oceanie.

Mimo wszystko Oliver ma to coś. Wiesz, o co mi chodzi. Był pierwszym mężczyzną, którego widok zaparł mi dech w piersiach. Jeszcze i dzisiaj czasem się to zdarza. Tylko przy nim czułam się na tyle bezpiecznie, by stworzyć

dom, urodzić dziecko, by dzielić z nim życie. Jednym uśmiechem potrafi cofnąć czas o piętnaście lat. Mimo wszelkich różnic stanowimy jedność.

W tej szkole, gdzie pracuję we wtorki, mój gabinet zorganizowano w stróżówce. Wczesnym popołudniem sekretarka puka do drzwi i mówi, że dzwoni do mnie doktor Jones. Prawdziwa niespodzianka. Oliver jest w tym tygodniu w domu, podsumowuje jakieś badania, ale zwykle nie ma ani czasu, ani ochoty do mnie dzwonić. Nigdy nie pyta, w której szkole jestem konkretnego dnia.

– Proszę mu przekazać, że jestem zajęta z uczniem
– odpowiadam i wciskam klawisz magnetofonu.

Pomieszczenie wypełnia się dźwiękiem samogłosek.

Aaaa... Eeee... liii...

Zbyt dobrze znam Olivera, żeby dać się wciągnąć w jego grę.

Eeee yyy. Eeee yyy. Ech, ty.

Oliver jest człowiekiem sławnym. Gdy się poznaliśmy, był nikim, ale dziś jest jednym z najwybitniejszych badaczy wielorybów i ich zwyczajów. Dokonał odkryć, które wstrząsnęły światem nauki. Jest tak sławny, że ludzie fotografują się z naszą skrzynką pocztową, jakby chcieli stwierdzić z dumą: „Widziałem dom doktora Jonesa”. Najistotniejsze osiągnięcia Olivera związane są ze śpiewem wielorybów. Wydaje się, że poszczególne stada śpiewają te same pieśni i przekazują je kolejnym pokoleniom. Oliver je nagrywa. Nie do końca rozeznaję się w pracy męża, ale jest w tym tyle samo mojej, ile jego winy. On już od dawna nie mówi mi o pomysłach, jakie się rodzą w jego głowie, a ja czasami zapominam spytać. Naturalnie kariera Olivera zawsze stała na pierwszym miejscu. Przeprowadziliśmy się do Kalifornii, by mógł podjąć pracę w San Diego, w Centrum Badań

Oceanicznych, a zaraz potem wyszło na jaw, że jego najgorętszą pasją są humbaki zamieszkujące wody przy Wschodnim Wybrzeżu. Od pierwszej chwili chciałam uciec z San Diego, ale nic Oliverowi nie powiedziałam. Co ma być, to będzie, uznałam. On musiał wrócić do Bostonu, a ja zostałam z maleńkim dzieckiem w klimacie, gdzie panowało wieczne lato, gdzie nigdy nie pachniało śniegiem.

Nie odbiorę jego telefonu.

Nie dam się znowu nabrać, koniec, kropka.

Co innego grać drugie skrzypce, a co innego patrzeć, jak jest w takiej pozycji ustawiana Rebeka. W wieku czternastu lat posiadała umiejętność patrzenia na życie z rezerwą – dla mnie niedostępną po przekroczeniu lat trzydziestu pięciu. Moim zdaniem, nie podoba się jej to, co widzi. Gdy Oliver przyjeżdża do domu, co zdarza się rzadko, spędza więcej czasu w swoim gabinecie niż z nami. Interesują go wyłącznie kwestie związane z morzem. Jak traktuje mnie, to odrębna sprawa, mamy za sobą niejedną burzę. I – poza wszystkim innym – to ja w nim się zakochałam. Z Rebeką jest inaczej. Ona nie daje Oliverowi wiary na piękne oczy, tylko dlatego, że on jest jej ojcem. Ma swoje wymagania.

Wiadomo, jak to bywa z nastolatkami: ucieczki z domu, nieplanowane ciąży, rzucanie szkoły... Słyszałam, że takie zdarzenia często mają źródło w problemach rodzinnych. Właśnie dlatego postawiłam Oliverowi ultimatum. Piętnaste urodziny Rebeki, wypadające w przyszłym tygodniu, zbiegły się w czasie z planowanym wyjazdem Olivera na wybrzeża Ameryki Południowej, w celu obserwacji długopłetwców na obszarach godowych. Oliver zamierza jechać. Ja oczekuję, że zostanie.

Mówię mu przez to: Rebeka jest twoją córką. Nawet jeśli nas oboje rozdzieliła przepaść tak wielka, że już siebie nie poznajemy, to jednak jesteśmy razem w jednym życiu, w tym wycinku czasu. I co ty na to?

Jedną z przyczyn, dla których milczałam, był wypadek Rebeki. U jego źródeł leżała kłótnia z Oliverem, więc robiłam, co w mojej mocy, żeby coś takiego się nigdy nie powtórzyło. Nie pamiętam, o co się wtedy poróżniliśmy, ale powiedziałam mu, co myślę, a on mnie uderzył. Wzięłam dziecko na ręce – Rebeka miała wtedy trzy i pół roku – i uciekałam do rodziców. Powiedziałam mamie, że się rozwiodę, bo Oliver zachowuje się jak wariat, a na dodatek mnie uderzył. Oliver zadzwonił i oznajmił, że nie obchodzi go, co będę robiła ja, ale nie mam prawa zabierać mu córki. Zagroził pozwaniem do sądu. Wobec czego pojechałam z małą na lotnisko.

– Kochanie, jest mi naprawdę przykro – powiedziałam – ale nie wytrzymam z tym człowiekiem ani minuty.

Wcisnęłam stewardesie sto dolarów, żeby przyjęła dziecko bez opieki. Samolot rozbił się pod Des Moines. Dalej pamiętam, dopiero jak stałam na polu kukurydzy i patrzyłam na dymiący wrak. Wydawał się nadal w ruchu. Wiatr gwizdał między częściami maszyny, docierały do mnie głosy, których nie potrafiłam zlokalizować. A za mną Rebeka, osmalona, lecz cała i zdrowa, jeden z pięciorga pasażerów, którzy przetrwali katastrofę, skulona w ramionach ojca. Odziedzyczyła po Oliverze jasne włosy i piegi. Oraz niepowszednią urodę. Spojrzeliśmy po sobie z Oliverem i wtedy zrozumiałam, dlaczego los kazał mi się zakochać akurat w tym mężczyźnie. Ponieważ we dwoje stworzyliśmy dziecko, zdolne swoim urokiem poruszyć zimny głaz.

2. Oliver

Humbaki hawajskie i karaibskie są, moim zdaniem, znacznie szczęśliwsze od tych, które żyją u wybrzeży Nowej Anglii. Śpiewają pieśni radosne, staccato, żywe. Bardziej jak melodie grane na skrzypcach niż na obojach. W ich nurkowaniu, w ich skokach nad wodę jest gracia, jest triumf. Gładkie wielorybie ciało sunie przez morską wodę prosto w niebo, z wyciągniętymi płetwami wznosi się z głębin oceanu, przywołując na myśl powtórne przyjście Chrystusa. Natomiast pieśni humbaków ze Stellwagen Bank chwytają za serce, przepełniają człowieczą duszę. W tych wielorybach zakochałem się, gdy pierwszy raz usłyszałem ich wołanie: rozdzierające, przenikliwe, dźwięk podobny do rytmu człowieczego serca, przerażonego samotnością. Przy słuchaniu taśm z nagraniami pieśni populacji wielorybiej z północnego Atlantyku zdarza mi się rozpłakać.

Współpracę z Rogerem Payne'em rozpocząłem na Bermudach, w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym, gdy wraz ze swoim kolegą, Scottem McVayem, doszli do wniosku, iż dźwięki wydawane przez humbaki, przez *Megaptera novaeangliae*, są w rzeczywistości pieśniami. Oczywiście jest to określenie dość swobodne, jednak ogólnie można się zgodzić, że mamy do czynienia z „ciągim dźwiękiem utworzonym przez wykonawcę w określony wzór”. Pieśni wielorybów takie właśnie są: dwa lub więcej dźwięków tworzy frazę, fraza jest powtarzana i staje się motywem. A kilka motywów to pieśń. Przeciętna pieśń wielorybia trwa od siedmiu do trzydziestu minut. Wykonują ją

osobnik powtarza tony w ustalonym porządku. Istnieje siedem podstawowych typów dźwięków: jęki, postękiwanie, wołanie, kwilenie, ćwierkanie, grzechotanie i świsty. Każdy ma swoje wariacje. Wieloryby z odrębnych populacji śpiewają różne pieśni, które z czasem się zmieniają, podlegając ogólnym prawom rozwoju, a wszystkie wieloryby przyswajają sobie zachodzące zmiany. Humbaki nie powtarzają pieśni automatycznie, raczej dodają coś od siebie, wplatają nowe elementy. Jeszcze do niedawna przypisywano tę umiejętność wyłącznie człowiekowi.

Oczywiście to tylko teoria.

Nie zawsze zajmowałem się badaniem wielorybów. Karierę w zoologii rozpocząłem od obserwacji robaków, następnie awansowałem na badacza nietoperzy, potem sów i w końcu – wielorybów. Po raz pierwszy usłyszałem długopłetwca przed laty, gdy wsiadłem do łodzi wiosłowej, spuszczonej z większej jednostki, i raptem uświadomiłem sobie, że znajduję się dokładnie nad tym imponującym morskim ssakiem, a dno łodzi drży od jego głosu.

Mój udział w badaniach polegał na odkryciu, że śpiewają wyłącznie samce. Hipoteza ta istniała wcześniej, natomiast zdobycie dowodów wymagało określenia płci poszczególnych wielorybów, znajdujących się w morzu. Zagłądanie im pod brzuch jest wykonalne, lecz niebezpieczne, wobec czego, mając na względzie osiągnięcia genetyki, zacząłem rozważać możliwość pobrania próbki komórek. Wymyśliłem strzałkę wystrzeliwaną ze zmodyfikowanego działka harpunniczego, umożliwiającą pobranie próbki pozwalającej na wykonanie biopsji. Strzałka, trafiając wieloryba, zbierała fragment jego naskórka grubości mniej

więcej centymetra, po czym należało ją ściągnąć liną. Była pokryta antybiotykiem, by chronić wieloryba przed ewentualną infekcją. Mam za sobą wiele nieudanych prób, jednak w końcu zgromadziłem obszerny materiał badawczy. Do dnia dzisiejszego zarejestrowano wyłącznie pieśni samców. Nie udało się nagrać ani jednej śpiewającej samicy.

(...)